

Chrystus jako wzorzec albo „Nikt nie może dwom panom służyć”¹

Zechcimy się przyjrzeć, jak Jego życie od samego początku było naszkicowane, jak musiało zostać założone i do samego końca zaplanowane, jeśli miał je wyrazić stosownie do nakazu: „Tylko jednemu Panu służyć”; ponadto: jak to życie – co znamienne, ponieważ nie mógł chcieć żyć w jakimś bliższym czy dalszym ukryciu – miało bowiem ludziom unaocznic, że należy tylko „jednemu panu służyć”, czego sam zaznał, czego musiał doznać na tym świecie, pośród ludzi, którzy, jak my wszyscy, w większym lub mniejszym stopniu dwom panom służyliśmy i w dodatku nie chcemy wcale ze spokojem znosić pośród siebie kogoś, kto chce służyć tylko jednemu panu i, co godne podkreślenia, kto nie chciał się wycofać, nie chciał pozostać niezauważonym, ale na dodatek chciał, aby cała uwaga ludzi skoncentrowała się na Nim, w dodatku twierdząc, że On sam jest prawdą.

Przychodzi na świat w biedzie i poniżeniu, i nie tylko to, ale co znamienne, w pogardzie, powity przez pannę², która była zaręczona, ale ów prawy człowiek, który się z nią zaręczył, wyświadczył jej właściwie dobrodziejstwo, przysługę, że (o czym na samym początku myślał i co, z czysto ludzkiego pojmowania nie byłoby może nawet trudne do zrozumienia) nie rozstał się z nią niepostrzeżenie dla nikogo. Tak więc narodził się na tym świecie, narodził się w sposób, zupełnie tak, jak gdyby pozostawał od początku poza tym światem, od samego narodzenia wykluczony, „pozbawiony matki, pozbawiony płci”³, niezwiązany trwale z żadnym człowiekiem, mimo [fizycznego] narodzenia się. Właśnie tak miało się to odbyć: w porę zwrócić uwagę na to, co Jego życie miało w sposób jednoznaczny i zdecydowany wyrazić: „Służyć tylko jednemu panu”. Podobnie jak jeździec na torze wyścigowym ma rywalizować i odpowiednio do tego jest ubrany, podobnie jak ten, kto w bitwie ma walczyć, jest odpowiednio wyposażony, tak Jego życie od samego zarania miało być ukierunkowane na umożliwienie tego, by móc tylko

¹ *Dammer selv! Til selvprøvelse samtiden anbefalet.* Søren Kierkegaard, *Samlede Værker*, København 1905. Bind 12. Nowszy wydruk komputerowy, opracował Karsten Kynde 1.P© sks.dk ©, zamieszczony tam został w 2012 roku.

Tytuł podrzdziału: *Christen som Forbille det eller Ingen kan tjene to Herrer*, czyli: Nikt nie może dwom panom służyć. Tytuł całości: *Dammer selv!* został przez Kierkegaarda wzięty z Ewangelii wg ap. Łukasza 12, 57.

Tłumaczenie Karola Toeplitza. Teksty te ukazały się pierwotnie we wrześniu 1851 roku. Znaczne ich partie wykorzystał Kierkegaard cztery lata później w dziesięciu ulotkach pod tytułem *Chwila*.

² Duńskie *Jomfru* jest jednym słowem dla oznaczenia zarówno panny, jak i dziewczycy. Duńscy komentatorzy Kierkegaarda nieustannie kładą nacisk na to, że według myśliciela Jezus był, w potocznym rozumieniu tego słowa, dzieckiem pozamająłskim, co w dalszej części tego tekstu zostanie powiedziane wprost.

³ Por. Hebr. 9, 3 – red. duńska (dalej r.d.).

jednemu panu służyć. Tak więc narodziny – a zważmy, nie było żadnej konieczności w tym, aby przyszedł na świat jako potomek szlacheckiego rodu albo jako następcą tronu – więc takie narodziny w przypadku, kiedy dziecko miałoby przynależć do znakomitego rodu albo do jakiejś powszechnie znanej rodziny, wówczas takie narodzenie staje się swoistym węzłem, który tak narodzonego człowieka natychmiast wiąże z innymi ludźmi, zespała z nimi; a zespolenie ze światem i z tym, czym świat jest, prowadzi do powstawania więzi z innymi ludźmi i w konsekwencji maksymalnie utrudnia służenie tylko jednemu panu, czyni to wprost niemożliwym, ponieważ nawet wtedy, gdy więzy zostaną zerwane, nawet wtedy, kiedy miłość się [tylko] ostanie – więź nadal istnieje. Przeciwnie – nieślubne dziecko, które nie mogło mieć elementarnego pojęcia o żadnym pokrewieństwie, które nie mieściło się w żadnym rozumieniu pokrewieństwa, nie należało do żadnej wspólnoty – urodzone zostaje w tajemnicy, o północy, za jakimiś krzakami, tak, takim sposobem zostało narodzone z braku miejsca⁴ – podobnie, jak wtedy, gdy Ten sam został potem ukrzyżowany, ponieważ świat nie znalazł dla niego miejsca! – w stajni (albowiem w stosunku do zlekceważonej panny nie dana Mu była więź rodzinna, która gwarantowałaby przygotowanie choćby pieluch), położony zostaje do żłobu... I jeśli można w tym przypadku mówić o jakichkolwiek więziach, to musiałyby to być więzi z końmi.

Zapewne jest w tym wszystkim jeszcze możliwy inny punkt widzenia, z którego można spojrzeć na te narodziny: Boga; z tej perspektywy nad tymi narodzinami rozświetla się niebiańska wspaniałość. I to nie tak, jak zazwyczaj nocą świecą gwiazdy, niezmiennie unoszące się nad ziemią, nie, Jego narodziny – które z całą pewnością nie zostały tu na ziemi odnotowane, są wydarzeniem szczególnego rodzaju – są wydarzeniem odnotowanym na nieboskłonie, na najważniejszym, a jedna z gwiazd w sposób nadzwyczajny świeci nad miejscem Jego narodzenia i roztacza błogostawione oko, które Dziecko widzi⁵, pojawia się niebiański blask rozpościerający się nad stajenką i wzgardzoną panną oraz pohanbionym mężczyzną pochylającymi się nad dziećciem w żłobie. To właśnie stanowi nadludzka wspaniałość. Jednakowoż, podobnie jak chrześcijaństwo zawsze łączy ze sobą przeciwieństwa, także i ta wspaniałość nie jest bezpośrednio postrzegana jako wspaniałość, lecz jest rozpoznawalna poprzez swoje przeciwieństwo, a więc w tym przypadku poprzez znikomość, ponizenie; podobnie jest potem z rolą krzyża, który towarzyszy wszystkiemu, co chrześcijańskie – tak i w tym przypadku dają o sobie znać przeciwieństwa. Albowiem chrześcijański krzyż nie jest czymś powierzchownym, zewnętrznym, jakimś „zarówno – jak też”, wyróżnieniem pozbawionym głębi, orderem, krzyżem na tle gwiazdy; nie, z jednej strony jest to dosłownie przerażające – jest dosłownie krzyżem i żadne ludzkie oko nie zespała w swoim postrzeganiu w wyższej jedności tej całości: krzyża i gwiazdy tak, że blask gwiazdy odbierany byłby jako coś mniej wspaniałego i przecież podobnie potem cierpienie na krzyżu odbierane byłoby jako mniejsza udręka, mniejsze cierpienie. Z drugiej strony, na odwrót, należy głębiej patrzeć na gwiazdę; ale nie nosi się gwiazdy

⁴ Por. Łk 2, 7. – r.d. Apostoł pisze o braku miejsca w gospodzie.

⁵ Por. Łk 10, 23 – r.d.

(to późniejszy wynalazek), och, nosi się krzyż (porównaj Ewangelię⁶) jako order, oznakę. To jest dla rozumu zgorzenie, to skandal i zawsze takim było, i zawsze czymś takim pozostanie. Rozum bowiem mówi: „[czegoś] za mało czy za dużo” – i takie rozumowanie psuje wszystko; to znaczy: co? To masy ludzkie, to wyśrodkowana droga, to przeciętna wielkość, oto co jest prawdziwe dla rozumu. Rozum z tego powodu zapewne zaproponowałby, aby z gwiazdy przy narodzinach zrezygnować, tego jest za dużo, albo: tyle się wcale nie wymaga; rozum zaproponowałby poza tym, żeby zostać urodzonym jako potomek prawowitego małżeństwa i przynajmniej w jakiejś przyzwoitej, porządnej i dobrze sytuowanej mieszczańskiej rodzinie. Ale to, co chrześcijańskie, właśnie takim nie jest; rodzi to problem stosunku tego, co niebiańskie, do tego, co doczesne. Jeśli, aby posłużyć się przykładem, Chrystus posyła apostołów – no cóż, mógłby ich wyposażać w to, co niezbędne, ale nie, oni niczego nie mogli posiadać, żadnej własności, w przeciwieństwie do tego nauczał: „Kto poda kubek świeżej wody do picia jednemu z tych najmniejszych, dlatego że jest uczniem moim, zaprawdę powiadam wam, nie straci nagrody swojej” (Mt 10, 42.). To jest eleganckie; najpotężniejszy spośród wszystkich potężnych królów na ziemi nie jest w stanie zwykłym sposobem opłacić łyka wody – co rozumiecie. Inaczej potężny król troszczy się zapewne również o to, by jego posłańcy bądź ministrowie nie popadli w stan zakłopotania z powodu jakiejś tam szklanki wody. W przeciwieństwie do takich posłańców apostoł żyje w biedzie, jest dosłownie w potrzebie, żeby móc zaspokoić najbardziej elementarne potrzeby życiowe, nie posiada kubka wody, a i pieniędzy także nie posiada, posiada (tak skromnie Bóg go wyposaża, aby w następnej chwili tego samego człowieka wynagrodzić cudem!), nie, nie, nie posiada niczego, niczego, co mógłby dać w zamian; zaiste jest prawdą, że posiada wskazówkę [prowadzącą] do nieba, którą można dostrzec – aliści, na nieszczęście, nie na tym świecie – wskazówkę, która jest więcej warta aniżeli wszystkie wspaniałości tego świata, ale pieniędzy nie, tych nie posiada, w ogóle nie posiada niczego o doczesnej wartości – ale to jest źle przyjmowane na tym świecie, gdzie pieniądź wszędzie (co łatwo dostrzec!) jest więcej wart aniżeli wszystkie niebiańskie wspaniałości. Opowiada się o podróżniku, który w jakimś kraju popadł w finansowe tarapaty, mimo że posiadał nominał o niezwykle wysokiej wartości – ale nie było nikogo, kto byłby w stanie go rozmienić. Podobnie z tym, co chrześcijańskie, z apostołem. Dla rozumu jest to, jak wszystko, co chrześcijańskie, skandalem. Owa maksyma: „Za dużo i zarazem za mało” psuje wszystko – mówi rozum. Zrezygnujmy z tych niebiańskich wskazówek, aż tyle się w końcu nie wymaga; dlatego niech zwiastowanie chrześcijaństwa przynajmniej zapewni znośne utrzymanie, zapewniając coś trwałego w przeciągu całego roku i określone uznanie w społeczeństwie; to drugie jest z tego czy innego punktu widzenia przesadą. Dlaczego przeciwieństwa miałyby zostać w tak drastyczny sposób od siebie oddzielone, dlaczego nie można by, kierując się ku temu, co cudowne, co nieco popuścić cugle, aby potem co nieco dodać dla korzyści, coś mniej boskiego, ale bardziej namacalnie ludzkiego, aby człowiek zaznał

⁶ Łk 14, 27.

niecو tego, co dobre w świecie? Ponadto, po co komu to ugrzecznienie, które wywołuje tyle rozgłosu, tyle nadzwyczajnego rozgłosu; po co komu tyle szlachetności, która gardzi posiadaniem choćby jednego szylinga, by potem cudownym sposobem szukać drogi wyjścia, kierując się wymówką? To nie jest żadne ugrzecznienie, lecz wyszukana i afektowana szlachetność, to przesada; czymś oczywistym i naturalnym byłoby danie każdemu apostołowi na drogę co nieco pieniędzy. Jeśli ma się teraz pojawić jakiś cud, no cóż, niech to się stanie następującym sposobem: na drodze cudu zostaje zgromadzony raz na zawsze określony fundusz i tak oto apostołowie zostaliby zaopatrzeni i żadnych dalszych cudów już nie potrzeba by było. Inny wariant jest w dwójnasób przesadą i to prowadzącą zarówno w kierunku „za mało”, jak i w kierunku „za dużo”. A to, czego rozum tak bardzo się obawia, wynika przede wszystkim z tego, że nie obwinia siebie samego, a ponadto i z tego powodu, że jeśli rozum już dostrzeże to, o czym mówimy, to osądza to jako głupstwo – i to właśnie jest przesadą. Niemożliwe jest, nie przesadzając, słuzenie tylko jednemu panu; w przeciwieństwie do tego za sprawą rozumu łatwo to uczynić; rozum może trwałą więzią połączyć w całość jedną, jak i drugą część składową świata, a wynik jeszcze dodatkowo połączyć z tym, co go charakteryzuje: ze słuzeniem dwom lub więcej panom.

Tymczasem Jego narodziny obliczone są na to, żeby było możliwe słuzenie tylko jednemu panu; on jest pozbawiony rodziny, a zatem i więzi rodzinnej, rodzinnej spójności.

Jednakże gwiazda na niebie co nieco zdradziła – i bądź taki dobry, i zapytaj swojego rozumu, wówczas będziesz mógł usłyszeć (zna się na tym doskonale), że niebiańska wspaniałość nie należy do tych dóbr, których należałoby sobie na tym świecie życzyć, że aż nadto często jej pojawienie się oznacza zagrożenie życia. Jako się rzekło – gwiazda co nieco zdradziła: król tej krainy, w której to zdarzenie miało miejsce, został uczulony, a zdradzona rodzina wraz z dzieckiem musiała się salwować ucieczką poza granice tego kraju. Wzgardzona rodzina; wprawdzie pokolenie później, a więc po jakimś czasie, mówi się o niej Święta Rodzina – ale bądź taki dobry i zapytaj swojego rozumu, a ten odpowie: „Wywodzić się z herbowej czy bogatej rodziny to może oznaczać dostatnie życie, ale wcale tyle [szczęścia] nie pragnę – powiada rozum – jestem zadowolony z tego, że wywodem się z mieszczańskiej rodziny, ale żeby wywodzić się ze Świętej Rodziny tu na tym padole, nie, pięknie dziękuję, to byłaby ostateczność, to gwarantowane cierpienia i pewne ubóstwo. Obłuda, czysta hipokryzja zdaje się od niepamiętnych czasów zupełnie zapominać, że ta rodzina, dopóki żyła na ziemi, była pogardzana, ale hipokryzja upiększa, popisuje się i usiłuje ludziom oraz „Świętej Rodzinie” wmówić, że stan poniżenia jest świętnością, a boska świętność i doczesna świętność sprowadza się do jednego i tego samego. Obłuda czuje się zgorszona, jeśli się prezentuje stan poniżenia tej rodziny – jest to żenujące i po to, by się bronić, rozum głosi: „my wolnomyśliciele, urągamy Bogu, szyczymy żeń”.

Ta rodzina, jeśli już koniecznie zechce się ją tak nazywać, chociaż nie jest to rodzina – salwuje się ucieczką. Tak oto dziecko pozbawione zostaje też ojczyzny. Ale tak to zapewne miało być choćby po to, by słuszną była myśl: tylko jednemu panu należy służyć.

To podobne do tego, jak jeździec szykujący się do wyścigów jest odpowiednio przyodziany, jak ten, kto ma wziąć udział w bitwie jest odpowiednio do tego ubrany – tak i Jego życie od samego początku nakierowane jest na to, by umożliwić służenie tylko jednemu panu. Albowiem spójności, która wiąże rodzinę, najbliższa jest spoistość, która zespała naród.

To zaiste prawda, że w tak określonym znaczeniu tego słowa „wspaniałość” i w tym przypadku daje znać o sobie: w przypadku tego niewiele znaczącego dziecka, które urodziło się w stajni, nagle staje się ono do tego stopnia ważne, że władca nakazuje zabić wszystkie dzieci w wieku poniżej dwóch lat, w nadziei, że i ono nie uniknie tego losu. „Ponownie: za mało i za dużo” – podpowiada rozum i mówi:

„ponownie mamy do czynienia z przesadą. Niech jego narodzenie będzie wydarzeniem, które da się przyporządkować danej sytuacji, ale On się rodzi jako coś mniejszego jeszcze aniżeli znaczącego cokolwiek; – i wtedy nagle staje się to straszliwym wydarzeniem. Jeżeli okazało się, że było czymś ważnym, aby to dziecko przyszło na świat, to jest nieomalże czymś niezrozumiałym, że rodzi się w stajni, przecież mogło mu się coś złego przytrafić. A z drugiej strony, jakaż to przeolbrzymia przesada, że właśnie ważkość tego dziecka miała zadecydować o losie, o mordzie dokonanej na równoletkach, żeby już nie mówić o tym, że miał zostać tego świata zbawicielem, a zaczyna od tego, że Jego narodziny miały kosztować życie całej czeredy dzieci”.

Tak więc dziecko pozbawione jest ojczyzny. A mimo to rodzina przecież wraca, chociaż musi żyć w ukryciu. W trakcie odwiedzin Jerozolimy, w jakiejś wolnej chwili, dziecko się zawieruszyło. To właśnie sytuacja, która w całej rozciągłości obrazowo odpowiada na to, co miało być i było dziełem życia tego dziecka, kiedy z całym naciskiem wyraża tę myśl: tylko jednemu panu służyć. Dziecko stoi samo dla siebie; było bez rodziny, bez ojczyzny; ale teraz jest dodatkowo jeszcze bez owych dwojga, w których miało oparcie, a którzy przepelnieni boleścią go szukają i – co jest czymś wystarczająco znamienym – znajdują je w świątyni, a ono – co jest już czymś mniej dziwnym! – powiada: „Czyż nie wiecie, że muszę być w tym, co jest [własnością] mojego ojca?”. Matka nie rozumie tych słów – i nie ma się czemu dziwić; zachowuje je wszak w sercu swoim – i to było piękne.

Dalej nie wiemy niczego o jego dzieciństwie i młodości. Zapewne bawił się z rodzicami i był pomocny – coś, co nie jest w żadnej mierze przeszkodą, by służyć tylko jednemu panu, przeciwnie, służy się właśnie temu jednemu panu tak, że się ich słucha, tych, którym winno się być posłusznym, zgodnie z własną wolą. Tak wydorósł; stał się mężczyzną, ale jak powiedzieliśmy, był i pozostał nikim i niczym. Tak też niczego nie posiadał, niczego nie zdobył po to, by cokolwiek posiadać, ponieważ podobnie jak ten, kto na torze wyścigowym ma walczyć, jest odpowiednio do tego ubrany; podobnie jak ktoś, kto na polu bitwy ma walczyć, jest stosownie do tego przyodziany; tak i jego życie od [samego] początku zostało wyposażone w urzeczywistnienie tej istotnej możliwości: służyć tylko jednemu panu. Ale do tego, by w świecie czymkolwiek zostać, nie mówiąc już o chęci bycia kimkolwiek czy posiadaniu czegokolwiek, czy też zdobyciu czegokolwiek, aby cokolwiek posiadać: do tego wszystkiego potrzebna jest ścisła

łączność z innymi ludźmi, zdolność obchodzenia się z innymi, chociaż – zważywszy – nadzwyczaj łatwo wtedy obejść [nakaz] służenia tylko jednemu panu. Słyszałem niezliczoną ilość kazania, czytałem je, a pochodziły od ludzi, którzy sami zostali kimś na tym świecie, kazania, w których rozważano nakaz, aby najpierw szukać Królestwa Bożego; pozwałam sobie jednak być zdania, że ci ludzie, owo „coś”, czym zostali na tym świecie, musieli zawdzięczać czemuś innemu aniżeli temu, by najpierw poszukali Królestwa Bożego. Nie podaję także w wątpliwość, że zarówno ci uczciwi ludzie, jak i w ogóle inne uczciwe osoby, podzielają moje poglądy, że o ile ktoś poważnie traktuje postulat najpierw szukania Królestwa Bożego, nie jest nikim i niczym, a dodatkowo pewniejsze jest, że nie stanie się kimkolwiek na tym świecie, albowiem ten, kto szuka, ten też znajdzie, ten świat bowiem, bardziej zazdrośnie od niebios, nastawiony jest na to, że kto szuka, ten też znajdzie, a w świecie jest taki tłok (albowiem droga do nieba jest wprawdzie wąska, ale nie z powodu natłoku ludzi), a więc jest taki wielki natłok, że nawet nie wszyscy szukający staną się kimś, chociaż nawet staną się odrobinę czymś więcej aniżeli ktoś, kto najpierw szuka Królestwa Bożego; taki bowiem człowiek, mimo wszystko, z całą pewnością nie zostanie nikim i niczym na tym świecie. Niczego łatwiej nie można udowodnić, uchowaj Boże, że ktoś okazałby się na tyle nieszczerzy bądź bezczelny, że dopiero zażądałby na to dowodu. Nie czuję się lepszym bądź innym w porównaniu z innymi ludźmi. W pewnym sensie rzeczywiście nie stałem się kimś – ale właśnie to w ujęciu niektórych osób wywołuje u nich zgorzniecie, ponieważ sądzą, że musiałbym jednak kimś/czymś zostać. Przeto według opinii niektórych takich ludzi nie stałem się nikim/niczym. Tymczasem nie mam odwagi nadać temu w stosunku do samego siebie znaczenia, jeśli osądzić mnie ma Ewangelia (i nie tylko mnie). Jeśli ona ma osądzać, muszę z zawstyżeniem przyznać, że stałem się kimś/czymś, ale jest tego mało. Muszę jednak poświadczyc, że owo niewiele, owo „coś”, czym się stałem, nie stałem się dzięki temu, że najpierw miałbym szukać Królestwa Bożego i dlatego przepętiony spokojem przyglądam się próbom panów pastorów i w przeciwieństwie do nich usiłuję dowieść, że w tym świecie można zostać kimś dzięki temu, że najpierw poszukuje się Królestwa Bożego, ponieważ należy tak postępować w przeciwieństwie do wszelkich innych poszukiwań, ale nieustannie nadając szukaniu Królestwa pierwszeństwo, ponieważ przecież o Królestwo Boże tu idzie, co w ujęciu tego świata jest celem nierównorzędnym, świata, do którego należy między innymi i to, że się w nim kimś zostanie.

To, że z tego powodu żądanie Ewangelii musi zostać zmienione tak, jak wymaga tego pospolite rozumienie, jest dla mnie obrzydliwe, z całego serca brzydzi mnie to, podobnie jak jest ten postulat obrzydliwy dla chrześcijaństwa. Nie życzę sobie również tego, aby rozbudzone u ludzi choćby tylko cień nadziei na to, że my ludzie, choćby jedynie w najmniejszym stopniu, przestrzegamy tego kluczowego żądania. Nie, myślę, jak następuje: jeśli mam mieć do czynienia z Bogiem – och, i to musi przecież dla człowieka stać się radością, błogością do tego stopnia, że człowiek nie musi się troszczyć o los całej Europy i nie o publikę albo o porównywanie go z otaczającymi go ludźmi itd. – jeśli więc tylko będę miał prawo do czynienia z Bogiem, zapewne odrzucony każdego dnia (to prawda),

ale jednak będę miał do czynienia z Bogiem, co przecież zgodnie z chrześcijaństwem jest dozwolone – jeśli więc mam mieć z Bogiem do czynienia, to muszę się także w tym odnaleźć, muszę mieć świadomość, że żądanie ma charakter bezwarunkowy; jeśli żądanie nie ma charakteru bezwarunkowego, to oznacza, że nie mam do czynienia z Bogiem, a jedynie z owymi czynnikami zatruwającymi i tłamszącymi prawdę: „z owymi innymi”, ze mną, z publicznością itd. Nie, nie, o Boże, nie odwołuj przede wszystkim nigdy bezwzględne żądania! Albowiem przecież to Ty jesteś tym, którego ludzie chcą odwołać, jeśli chcieliby odwołać bezwzględne żądanie: właśnie z tego powodu jestem do niego tak przywiązany i przeklinam brak zrozumienia, które przez chęć odwołania bezwzględnego żądania chce Ciebie odwołać i znieść i dlatego tak rygorystycznie się jego trzymam i przeklinam owe próby zrozumienia, które pod pretekstem zniesienia żądania chcą się pozbyć Ciebie, o Boże. Nie, pozostaw przede wszystkim owo b e z w z g l ę d n e żądanie! I niech bym zaraz (wprawdzie uznając prawdziwą więź i konstatając związek z nią) wypowiedział życzenie stania się kimś; i gdybym teraz (z powodu doczesnych potrzeb) musiał się starać o to, by kimś zostać: to jest to czymś zupełnie innym aniżeli chęć zniesienia owego żądania, albowiem ze względu na nie mogę natychmiast odnieść się do niego; nie dokonuję bowiem przystawionego „w tył zwrot” od owego żądania, nie odwracam się do niego plecami i nie dopuszczam do tego, żeby to, czym stanę się na tym świecie, wypełniło powagę mego życia; nie, w świetle bezwarunkowego żądania wszelkie moje osiągnięcia i pragnienia stale zamieniam, zmieniam samego siebie i to, czym się stałem, przekształcam w coś pozałowania godnego, w coś zeszmaczonego i mając te okoliczności i moje zachowanie na uwadze, czyż nie mogę mieć z Tobą do czynienia (czyż nie tak właśnie), o Boże, czy tak mam odnieść się do Ciebie?

Dopuszcz więc do owego zniszczenia, wewnętrznego zniszczenia w obliczu Boga, do Jego straszliwego działania, do bólu; ewentualny zapach człowieka wynikający stąd musiałby zapewne być dla niego swoistym błogostawieństwem; to straszne, ze wszech miar straszne w przypadku, w którym twoje, człowieku, najszczęsze życzenia stałyby się niczym albo gdybyś w rezultacie tego potraktował ten stan jako pobudkę do zaniechania czynienia czegokolwiek, albo gdybyś zechciał całkowicie zrezygnować z tego, aby mieć do czynienia z Tobą, aby w następstwie tego zostać poważanym człowiekiem, który na serio dąży do zostania kimś na tym świecie.

Tymczasem ten, który stanowi wzorzec, od samego początku swojego życia był namaszczonej na to, by móc ten stan wyrazić: tylko jednemu panu służyć. Nie należał do niczego i do nikogo, nie miał łączności z czymkolwiek czy kimkolwiek, był osobą obcą w tym świecie, żył w biedzie i poniżeniu, bez ogniska domowego, bez kryjówki, w której mógłby schronić głowę. Żył prostolinijnie w dosłownym rozumieniu tego słowa i tylko jeden jedyny raz zatoczył koło: był w świecie, a jednak jednocześnie poza nim, tylko jednemu panu służąc.

Mógłby spędzić życie w ciszy, niezauważony, a jego życie stałoby się tajemniczą modlitwą, w której należałby wyłącznie do jednego Pana, całkowicie do niego, aż do chwili, w której śmierć by go nie zabrała.

Ale to nie było Jego zamiarem... Nie, to nie było Jego dzieło, Jego życie to był Jego pokarm, tylko jednemu panu służyć⁷.



Shamil Khairov, *Apocalypse*

⁷ Por. J 4, 34; „Moim pokarmem jest pełnić wolę tego, który mnie posłał, i dokonać jego dzieła” – przypis N. Thulstrupa.

PS Tłumacza.

Powyższy tekst jest jednym z najbardziej reprezentatywnych w myśleniu Duńczyka. Zdziwienie musi budzić fakt, że nie znalazł dotychczas w literaturze komentatorskiej należytego miejsca. Właściwie jest to, z konfesjonalnego punktu widzenia, **HEREZJA**. Zdawać by się mogło, że wszyscy, którzy choćby jako tako zapoznali się z Nowym Testamentem, posiadają wiedzę na temat tego, o czym powyższy tekst traktuje. A jednak. Autor wyeksplikował to, co zdawać się może oczywiste. A więc, że Chrystus był pozbawiony ojca, pozbawiony matki (!), rodziny, więzi rodzinnej, wszelkiego pokrewieństwa, pozbawiony ojczyzny, pozbawiony pozytywnej (!) więzi ze światem, a więc przynależności do jakiegokolwiek wspólnoty, albowiem Królestwo Jego NIE BYŁO Z TEGO ŚWIATA, a więc był obcym w tym świecie, chociaż fizycznie w nim istniał. A ponieważ cechą chrześcijaństwa – według Kierkegaarda – są przeciwieństwa, więc Jego przyjście na świat kosztowało życie olbrzymiej ilości dzieci, na których dokonano mordu w tym celu, aby Jego zgładzić, tego, który miał być Zbawicielem. Co za paradoks! Autor przenosi NEGATYWNE cechy Jezusa na apostołów, którzy też niczego NIE posiadali, poza danym im zadaniem.

W odniesieniu do konkretnego człowieka oznacza to konieczność zmieniania siebie, „wewnętrznego zniszczenia!” swojego ja w obliczu absolutnego żądania: służenia tylko jednemu Panu.

Analizując bliżej ten tekst, należałoby stwierdzić, że dwudziestowieczne tak zwane teologie negatywne tu mają swoje korzenie. Elementy tego stanowiska spotykamy dosłownie u Duńczyka: niepodobna Chrystusowi przypisać jakichkolwiek doczesnych cech, podobnie jak Bogu – o czym w polskiej literaturze obszerniej pisał Jacek Prokopski – można jedynie powiedzieć, co Go NIE cechuje.

Oddaję ten tekst w ręce Czytelnika dla głębszej zadumy...

(Całość książki powinna się ukazać w przyszłym roku).

Karol Toeplitz